

LUBELSZCZYNA  
I LUBLIN W MOICH  
WSPOMNIENIACH



Wszystkie drogi wiedą do .....

Chociaż sama urodzona na wsi podkarpackiej - dziś wchodzącej w skład powiatowego miasta jako jedna z dzielnic - czuję się lublinianką i Lublin dziś jest "moim miastem". Gdziekolwiek znajdę się poza Lublinem, wszystkie moje myśli biegną zawsze do tego miasta, bo tam mam swój dom, tam moja rodzina. Moje miasto rodzinne żyje dziś tylko we wspomnieniach, jest już legendą mego życia.

Ja kocham "moje miasto" Lublin jak mówi piosenka. Ale zanim Lublin stał się moim domem" dużo wody upłynęło w Bystrzycy i daleką przeszłam drogę. Kiedy jako córka małego chłopca u swojej mamy bosą biegałam za gęsiami nic jeszcze nie słyszałam o Lublinie, nie wiedziałam, że koziółek, którego jako dziecko bałam się, będzie w herbie mego domu. Z przykrością stwierdzam, że nie znam herbu miasta rodzinnego, wiem tyle, że go kiedyś małym Krakowem zwano, że przez nie wiódł szlak ku przełęczy dukielskiej.

Pierwszy raz o Lublinie usłyszałam od "Moskala" jak wówczas w 1915 r. u nas mówiono, że pochodzi z pod Lublina i też jest Polakiem - co w głowinie 5-letniego dziecka nie mogło się pomieścić. Że z tym "Moskalem" matka moja zrobiła zamianę. Za białą "soroczkę" - otrzymała "sało" - gdyż inaczej nie chciał się zgodzić. Dziś wątpię czy to była wymiana czysto handlowa, czy za tym nie kryło się coś więcej - "patriotyzm".

Ojciec nasz chociaż rolnik, był jak na ówczesne czasy uważany za bardzo mądrego człowieka i uspołecznionego. Nic dziwnego, że po powrocie z "wojny" "z Italji" dużo czytał i nas dzieci zaraził tym bakcylem. W domu było nas 5-ro dzieci, trzech braci i 2 siostry, a gospodarstwo liczyło zaledwie 3 ha pola różnej klasy. W przyszłości nie byłoby czym dzielić - a ojciec był zwolennikiem utrzymania gospodarki w jednym ręku. Miał je otrzymać któryś z synów, a jedna córka miała dostać w wianie część matki, którą ta również otrzymała od swoich rodziców. Reszta - trójka miała powiedziane "uczcie się dokąd będę mógł dopomogę wam - wyjdziecie na ludzi. Jeżeli nie znajdziecie pracy tu na miejscu, to w "Królestwie" potrzebują ludzi wykształconych, bo tam nie było szkół polskich, brak jest inteligencji".

Na gospodarce pracowała mama przy pomocy nas dzieci i ojca, który aby "wyprowadzić dzieci na ludzi" pracował w mieście powiatowym w spółce zbytu trzody chlewnej, a we własnej wsi w Kasie Stefczyka. Ojciec przeszedł twardą szkołę życia, był bardzo pracowity i zaradny, a przy tem zdolny.



W wolnych chwilach pracował przy warsztacie stolarskim własnej roboty. Pamiętam, że prawie wszystkie meble w domu były wykonane ręką tatusia. W latach od 1920 r. do 1934 r. był dwukrotnie sołtysem i wójtem gminy. Mało bywał w domu, ale wieczory zawsze spędzaliśmy razem przy lampie naftowej - a u sołtysa była lampa Nr 11 najpierw wisząca, a później stojąca z kloszem, co na tamte czasy na wsi było luksusem. Mama przy małej lampce Nr 5 kręciła się koło gospodarstwa i kuchni, a my z ojcem w tejże samej kuchni przy stole - ojciec nad gazetą, a my przy odrabianiu lekcji i czytaniu książek.

Często ojciec siedział na warsztacie i "dłubał coś" dłutem - mama z nami przebierała fasolę - a ojciec opowiadał nam o świecie. I wtedy znów usłyszałam o "rządzie lubelskim" i w naszym domu panowała cicha radość, że chłopci biorą udział w rządzeniu krajem, że nareszcie w Polsce zapanuje sprawidliwość, że my dzieci chłopskie nie będziemy się wstydzili swego pochodzenia, swego ubioru, czy mowy. O moje uszy już wtedy obily się nazwiska Witos, Stępiński, Kiernik i nazwy gazet, a nawet ich szata nie była mi obca, jak "Przyjaciel Ludu", "Rolnik".

Ojciec jako człowiek samowystarczalny, jako wielki wiejski społecznik, pędził nas do nauki, do pracy w domu, chętnie jednak cicho aprobował udział najstarszego brata w pracy społecznej na terenie wsi-gminy. Brat pracował w "Chórze i teatrze" w bibliotece, której zresztą wraz z kilkoma zapaleńcami - kolegami był założycielem i duszą tych organizacji. Brat starszy jako uczeń gimnazjum realnego, a później studentem politechniki lwowskiej był też i dla mnie jakby duchowym przewodnikiem.

On pociągnął mnie za sobą "do szkoły". Jemu i cichej znowie z ojcem zawdzięczam, że po ukończeniu 2-klasowej szkoły we wsi rodzinnej /5 klas/ zostałam zapisana do Szkoły Wydziałowej Żeńskiej w mieście dą klasy piątej. Do miasta było 3 km., niewiele na ówczesne czasy chodziło młodzieży "do miasta - do szkoły", bo to i daleko i opłaty w magistracie były wysokie i trzeba było mieć mundurek. Kiedy po ukończeniu 7-klasowej szkoły zdawałam egzamin do Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego było nas we wsi liczącej 300 numerów domów około 15 osób, które ukończyły, czy kontynuowały naukę w mieście. I znów z wielkim oporem ze strony mamy dostałam się do seminarium. Mama chciała mnie najstarszą z córek widzieć przy sobie w domu przeczuwała, że nie słodko będzie mi zdobywać wiedzę, a jej trzeba będzie zakasać rękawy i zabrać się do ciulania grosza na moją naukę, a nie chciała żeby jej córka ze względu na ubiór różniła się od dziewcząt z miasta. Nieraz pokryjomu przed ojcem sprzedawała na targu w mieście "miarę" zboża



lub kartofli, żeby móc sprostać wydatkom. Brat mój należał do najstarszej inteligencji we wsi, już w tym czasie po ukończeniu Realnego Gimnazjum był na Politechnice we Lwowie. Niestety politechniki nie ukończył ze względów materialnych, gdyż młodsze rodzeństwo "biło" się koło to żeby się dalej uczyć. Średni brat ponieważ nie mógł iść do szkół poszedł w ślady ojca, który umieścił go u stolarza w mieście za opłatą, a ponieważ był zdolny niedługo sam potrafił zarobić na swoją naukę. Równocześnie uczęszczał na kursa zawodowe i po wyzwoleniu się na czeladnika pracował u stolarza rzeźbiarza i nadal uczył się tego fachu. Najmłodszy brat wątki i siostra - nasz benjaminek byli w domu, pomagali mamie. Nie znaczy to, że my starsi już nic nie robiliśmy w domu. Pamiętam dobrze, że po powrocie ze szkoły o godzinie 14 - 15 zjadałam obiad z "duchówki" brałam książkę do ręki i razem z siostrą lub młodszym bratem pędziłam krowy w pole, a resztę lekcji odrabiałam wieczorem.

I znów na ustach całej rodziny Lublin - gdzie starszy brat po powrocie u pracy z Krakowa, gdzie pracował w jakiejś gazecie ludowej, wniósł podanie do K.O.Sz. Lublin o posadę nauczyciela. Pomimo braku przygotowania pedagogicznego otrzymuje posadę nauczyciela w 7 klasowej szkole w Kurowie. Teraz dopiero i ja mam okazję poznać lubelską ziemię i sam Lublin. W roku 1927 jako uczennica II Kursu Sem.Naucz. jadę na wakacje do brata do Kurowa. Właściwie jadę do braci, bo i najmłodszy brat uczył się tam zawodu u sławnych kuśnierzy kurowskich. Ściągnął go tam brat - nauczyciel, chcąc w ten sposób pomóc rodzicom. Jadę więc do Kurowa, szczerze przyznaję się, że była to pierwsza moja podróż pociągiem i to samej. Co czuła młoda uczennica - 17-letnia wtedy w swoim sercu, nikt nie pytał. Trafiłam na deszczowe lato i lubelszczyzna nie podobała mi się. Natomiast bardzo podobali mi się ludzie. W Kurowie zetknęłam się z młodzieżą z Koła "Wici" w którym brat pracował. I z nim odhylałam moją pierwszą dalszą wycieczkę furmankami do Lublina. Urzekł mnie Kazimierz - Bochońca - historia Ester i króla chłopów. A w tym czasie pasjonowałam się powieściami Kraszewskiego. Zajeżdżamy do Lublina do zajazdu na ul. Świętoduskiej. Lublin jest to pierwsze duże miasto widziane w moim życiu. Wydało mi się tak duże i piękne, że to wrażenie do dziś pozostało i obraz Krakowskiego Przedmieścia, Starego Miasta, Zamku, ul. Narutowicza i Świętoduskiej pozostał do dziś i takimi j widzę zawsze.



W pewnym momencie zostaje sama, błądzą ulicami, ale Lublin miał i ma to, że trudno zabiłdzić, zawsze wyjdzie się na Pl. Litewski. W duszy mojej kiełkuje ciche marzenie "kiedyś będę uczyć w tym mieście".

Po maturze w 1929 r. w czerwcu jadę do Szyc na Uniwersytet Ludowy, ale niestety tylko jako gość brata, który w kolei pracuje tam jako wykładowca. Ponieważ postanowiłam pisać tylko o moich kontaktach z Lublinem ominę moje wrażenia z dwukrotnego pobytu w Szycach, o ludziach których tam poznałam i którzy do dziś są miłe wspomniami i są dla mnie poza ojcem i bratem jakby nauczycielami w pracy społecznej wśród ludzi na wsi, bo przecież jako nauczycielka wybierałam się uczyć na wieś. Mowa tu o Solarzach i bardzo miłej i sympatycznej koleżance Maryśce Popławskiej. Pomimo starań brata i znajomych, pomimo zapewnień, że otrzymam pracę niedaleko Krakowa na drodze do Szyc, abym mogła kontynuować dalszą naukę i rozwijać swoje zdolności artystyczne /miałam być podobnie malarką/, sama bez informowania rodziny wniosłam podanie do Kur.Okr.Szk. lubelskiego o posadę nauczycielki. I od tej chwili losy moje już na zawsze związały się z tą ziemią. Pomimo powrotów w góry na każde wakacje, czy ferie, pomimo tęsknot i wyśpiwywania "że pod Tatrami dziem się rodził, tam też będzie i mój grób" pozostałam wierną wyżynom lubelskim.

Nie zraża mnie to, że znajomi, którzy znali lubelszczyznę opowiadają jak ciężko mi będzie przyzwyczaić się do ludzi, do stosunków na wsi, do błota o! właśnie do błota.

Pierwsze pięć lat przepracowałam w 4 kl. szkole rozwojowej we wsi pow. hrubieszowskiego 6 km. od Bugu "tam gdzie diabeł mówi dobranoc".

Wystarczy, aby zrozumieć to powiedzenie, że pierwszą podróż z Hrubieszowa 20 km. odbyłam dwoma etapami furmanką, po błocie po osie kół. Strach było pomyśleć co stałoby się, gdyby tak ta młoda nauczycielka spadła z siedzenia a miała na nogach tylko deszczowce do kostek, które później zanim kupiła za pierwszą pensję buty gumowe, nieraz gubiła w błocie idąc do szkoły. Ale tam w hrubieszowskim /oj! dobrze, że nie na Polesiu lub Wileńszczyźnie/ w tej bogatej wsi w połowie zamieszkałej przez ludność ukraińską w połowie przez kolonistów z małopolski, tam zahartowała się moja pełna wlotów dusza "Siłaczki". Przeszłam szkołę życia i szkołę w szkole, tam też zdecydował się mój dalszy los - znalazłam tam męża, kolegę i towarzysza mego życia.



Tam po ustaleniu, pomimo projektów powrotu na podkarpacie, postanowiliśmy z mężem, że nasza droga będzie biegła na Lublin i że kiedyś będziemy pracowali w tym mieście. Nasze dzieci będą się mogły uczyć w mieście wojewódzkim, nie będą musiały brnąć po śniegu i błocie 3 do 4 km. codziennie do szkoły jak matka i nie będą się tulać po domach dziecka, po ochronkach jak ojciec, który był sierotą wojennym po I wojnie światowej. Tu na ziemi lubelskiej, która była rodziną, ziemią ich ojca będą mieli swój dom tu zdobędą staż życiowy. Ale narazie to były tylko marzenia. W pracy swej w hrubieszowskim pierwszy raz spotkałam się z ludnością mieszaną, jak się wtedy mówiło z "kolonistami" i "chachłami" tzn. ludnością ukraińską. Co ciekawe, że w szkolnej pracy nie odczuwało się wielkiej różnicy - zresztą nauczyciele plenili wszelkie przejawy antagonizmu wśród młodzieży. Natomiast jeżeli chodziło o starszych, a szczególnie młodzież dorosłą wyczuwało się cichą nienawiść pomiędzy kolonią a wsią. Pracowałam w godzinach wieczornych z młodzieżą starszą i co ciekawe sama "wieśówka" byłam sekretarką koła "Siew", bo inaczej nie było można pracować. Mnie jednak zależało tylko na pracy z młodzieżą, nad podniesieniem ich poziomu kulturalnego, dążyliśmy do zbliżenia i współpracy młodzieży ukraińskiej z kolonistami. Młodzież ukraińska początkowo z wielkimi oporami przychodziła tylko do biblioteki, później na zebrania koła Siew i na kursy dokształcające. W końcu udało nam się zorganizować wspólnie uroczystość państwową i zabawę w budynku starej szkoły pamiętającej jeszcze czasy carskie. Nowa szkoła mieściła się na kolonii w byłym dworku, gdzie Dozór Szkolny wynajmował 5 sal na cele szkolne od 2 właścicieli - kolonistów. W pracy naszej nad młodzieżą - starszą skończyło się na tym, że naraziliśmy się razem z kolegą władzom bezpieczeństwa i za kontakty z komunistami byliśmy dłuższy czas pod tajnym dozorem policji, o czym dowiedzieliśmy się przed samym wyjazdem z tamtej placówki. W 1934 r. bierzemy ślub, który odbył się w Zamościu, a więc jeszcze ~~więcej~~ więcej nasz los wiąże się z ziemią lubelską. Następnym etapem naszej pracy pedagogicznej jest gminna wieś powiatu krasnostawskiego w 7 klasowej szkole. Droga nasza wiedzie na Lublin już mamy do niego tylko 35 km. W nowej szkole uczyliśmy po wiejskich domach, gdyż budynku szkolnego nie ma. Do szkoły chodzi młodzież z 3 dużych wsi i kilku przysiółków.



Jest to szkoła zbiorcza. Załedwie 3 klasy jest w jednym budynku remizy strażackiej i tam ucząszczają dzieci starsze. Dojście do szkoły jest podobnie jak w hrubieszowskim. Zimą po śniegu, wiosną i jesienią po błocie i wodzie. Do mnie jednak jakoś los uśmiechnął się i uczę w sali budynku gminnego, później w domu parafialnym i w klasach wynajętych od gospodarzy, ale położonych obok szosy Lublin - Krasnystaw. W szkole nie było tej "atmosfery" szkolnej, gdyż nauczyciele spotykają się tylko na konferencjach, na zebraniach, każdy uczył w swojej klasie położonej od drugiej conajmniej o 100 m., a takich punktów było 7 wzdłuż szosy. Natomiast miłe stosunki panowały wśród grona poza szkołą. Mąż poza pracą w szkole prowadził "szkolny chór", a w późniejszych czasach razem pracujemy w kole Wici i prowadzimy teatr z młodzieżą starszą.

Rok 1935 przybliżył nas jeszcze więcej do Lublina, gdyż w tym roku rodzi nam się syn i to przychodzi na świat właśnie w Lublinie.

A więc w jego metryce Lublin będzie jego miejscem urodzenia. Dochodzą kłopoty rodzinne - mąż choruje. Przeżywamy w roku 1937 strajk nauczycielski solidaryzujemy się z naszym związkiem do którego należę od 1930 r., a więc od początku mojej pracy zawodowej.

Mąż jeździł na egzamin do Poznania na WKN, śpiew, gimnastyka, ale pomimo zdania egzaminu ze względu na stan zdrowia nie zostaje przyjęty. Nie rezygnuje jednak z dokształcania się w naszym zawodzie, prenumerujemy czasopisma związkowe, a wieczorami przy aparacie radiowym w ciszy domowej spędzamy czas na przygotowaniach do lekcji, uzupełniamy braki w wiadomościach. Każdego miesiąca po pierwszym jedziemy do Lublina do rodziny brata. Razem idziemy do kina czy teatru, poznajemy miasto. Lubimy piesze wędrówki po jego ulicach, gdyż autobus jeździł tylko od Dworca do ul. Godebskiego. Pamiętam dawny Lublin, za szpitalem "Bobolanum" /tam gdzie dziś ZOR Zachód/ na prawo od koszar było ogrodzenie z desek, a za nim gęsi. Tam gdzie dziś miasteczko Akademickie była szkółka drzewek a dalej szczere pole. Na ul. Głębokiej nie warto było chodzić, bo wielkie błoto i moczary, które ciągnęły się wzdłuż Bystrzycy aż do nowej drogi i dworca kolejowego. Ulicą Zamojską dochodziliśmy do lotniska. Na Kalinowszczyźnie najdalej byliśmy na "kierkuście żydowskim", gdyż dalej była tylko wieś i pola, a daleko poza miastem rzeźnia.



Na Czechowskie Górkę chodziliśmy na sanki. Szczególnie podobały nam się górkę czechowskie. Z bratową cicho marzyliśmy o tym, by za oszczędzone pieniądze kupić kawałek pola i wybudować dwurodzinny domek. Plany jednak nie zostały zrealizowane z różnych powodów, a najważniejszy był ten, że na cmentarzu na Lipowej przybył nam mały domek, a w nim w r. 1938 na wieki spoczęła inicjatorka projektu. Straciłam kogoś naprawdę bliskiego - więcej jak siostrę i co dziwne, że wrażliwa na sprawy bliskie, nie płakałam zupełnie. Ból był tym większy, że drugi ukochany człowiek leżał chory, bratowa przepowiedziała jego śmierć, a stało się to w czerwcu 1939 r., prawie w przeddzień wybuchu II wojny światowej. Ojciec umierając niczego nie żałował, gdyż wycierpiał się przez 6 lat, ale często mówił "ciekawym jestem i chciałbym zobaczyć jaka to będzie Polska po wojnie, jak się ułożą społeczne stosunki w tej "Nowej Polsce", bo niezbicie wierzył, że zmiana musi nastąpić. Nie doczekał, a byłby się cieszył bardzo, że zmiany. Często nam opowiadał jak starzy ludzie mówili, że w 1948 r. w Potoku "pana", chłopci piłą drewnianą przerznięli.

1939 r.  
Ale wróćmy do Lublina. Ludzie robią zapasy, ciągle mówi się o Hitlerze o układach z Niemcami, a obawiając się sąsiada z zachodniej strony, "że dzicz, że brak kultury. Średni mój brat mówił, że chciałby się dostać na obszar ZSRR, aby się naocznie przekonać, jak tam jest i żeby ludziom udowodnić, że obawy są bezpodstawne. Plan swój realizuje po wejściu Niemców do Polski i przechodzi wschodnią granicę. Opuści kraj na długie tułaczę 6 lat 1 września 1939 r. Jadę do Lublina autobusem do szpitala do brata, który poprzedniego dnia miał poważną operację. Jadę do niego i po jego małą córeczkę by na wsi uchronić ją od następstw wojny. Przeżywam w drodze pierwsze bombardowanie Lublina. Samochód dojechał pod lotnisko i został zatrzymany, gdyż w mieście trwał alarm przeciwlotniczy. Nad nami krążyły samoloty, a my pod lipami czekaliśmy kiedy padnie bomba. W pewnym momencie usłyszałam silny szum, a potem wybuch, jeszcze dowiedzieliśmy się, gdzie upadła bomba zobaczyliśmy zakrwawioną kobietę biegnącą od strony lotniska przez pole buraczane. Kiedy zaczęło coraz więcej padać bomb - usłyszeliśmy krzyk, kłęby dymu unosiły się nad lotniskiem, ludzie dorośli, dzieci i 2 żołnierzy biegli z terenów lotniska, wołając: "ludzie uciekajcie - piekło na ziemi". Powoli pod drzewami i rowami wycofywaliśmy się byle jaknajdalej.



Kiedy uspokoiło się chcieliśmy chociaż pieszo dostać się do miasta. Zostaliśmy zatrzymani przy rogatece przez żołnierzy, którzy powiedzieli, "że dokąd alarm nie zostanie odwołany do miasta nikogo nie wpuszczają, kiedy się to stanie nie wiedzą, może wieczorem". Była już godzina koło jedenstej, sama wycofałam się w kierunku Kazimierzówki, potem wsiadłam do nadjeżdżającego od strony Lublina samochodu ciężarowego i dojechałam do Piask. Z Piask wróciłam znów małym samochodem do domu. Na drugi dzień znów pojechałam do Lublina, odwiedziłam brata w szpitalu. Brat opowiadał o swych przeżyciach w czasie alarmu, jak część poważniej chorych pozostała na korytarzu, a siostry z resztą chorych zeszyły do piwnic-schronów. Zabrałam bratanicę i oszołomiona, nawet nie miałam czasu ni ochoty oglądać zniszczeń, wróciłam najbliższym samochodem około godziny 15 do domu. Nastąpiła czarna noc okupacji. Z Lublinem zerwała się łączność. Wiedziałam, że brat wyszedł ze szpitala, ale do Lublina nie jeździliśmy. We wrześniu płatnik wypłacił nam z góry za 3 miesiące pobory, myśleliśmy o zrobieniu jakiś zapasów, aby przetrwać z dziećmi chociaż najgorszy czas. <sup>17 IX 39r.</sup> Stałam w oknie za firanką i patrzyłam na szosę po której jechały pierwsze motocykle z Niemcami. Łzy ciekły mi po twarzy. W pewnym momencie mąż odsunął mnie od okna i powiedział "odejdz od okna, pomyślą że ich witamy". Straszonym przeżyciem było dla mnie kiedy po wycofaniu się Niemców, chłopcy z sąsiedniej wsi zrobili napad na samochody niemieckie. Nasze wojsko maszerowało szosą w kierunku na południe. Cieszyliśmy się, że może już Niemcy nie wrócą. I wtedy od strony Lublina zaczął się atak niemiecki. Staliśmy z dziećmi pod szopą, a pociski nad nami i dookoła nas rwały się, pluskały w rzeczce, która płynęła koło domu. Kiedy na chwilę została przerwana <sup>milanina</sup> komenda z krzykiem ura! przybiegli szosą i polami Niemcy. Byli to przeważnie młodzi chłopcy. Jeden z nich - oficer podbiegł do mnie pod szopę gdzie stałam z dziećmi /synem i bratanicą/ przyłożył mi rewolwer do piersi i pytał po niemiecku "gdzie jest polskie wojsko, gdzie są bandyci". W tym momencie zapomniałam wszystkich wyrazów mowy niemieckiej, machnęłam ręką w kierunku szosy. Nie wiem co by było gdyby nie los szczęścia, widocznie sądzono mi było żyć, gdyż zagrzmiął sygnał trąbki do odwrotu i Niemiec pogroził mi bronią i odbiegł. Po południu atak został ponowiony, wtedy ja z dziećmi ukryłam się u sąsiadów w piwnicy-kppcu, a mąż z dwoma b. oficerami wojska polskiego, którzy w międzyczasie wpadli do domu /przebrani częściowo w ubranie cywilne/ przesiedział pod piecem w pokoju. Jak długo trwał atak nie wiem, dzieci w piwnicy na kartoflach zasnęły, kobiety odmawiały modlitwy, a mnie ciągle nie opuszczali.



myśl, co się dzieje z mężem. W pewnym momencie Niemcy otworzyli drzwi piwnicy i kazali wszystkim wyjść na zewnątrz. Koło piwnicy paliły się stogi, dookoła na polach również. Dom sąsiada zaczął się palić, a Niemcy po wsi z ogromnym krzykiem biegali podpalali domy i wyłapywali mężczyzn. Jakoś nam dopisało szczęście. Wróciłam do domu z dziećmi, a mąż zaraz z naszymi oficerami /jeden był znajomym nauczycielem, w jego domu w Zamościu odbyło się u brata nasze wesele/ wynosili meble z domu z obawy przed pożarem. Przeżyliśmy dramatyczny moment, kiedy staliśmy na schodach domu, wpadli Niemcy. Obok mnie stał b. ułan wojska polskiego w butach ułańskich. Niemcy z krzykiem "ułan, ułan" chcieli go zabrać. Stałam obok, otoczyłam ręką szyję "ułana" i powiedziałam po niemiecku, że to mój mąż. A obok stał prawdziwy mąż. Błyskawicą przebiegła mi myśl a co będzie, gdy będą pytać o niego. Ale szczęśliwie obeszło się tylko na zabraniu panom zegarków. Jak się później dowiedzieliśmy kolega nauczyciel miał pod spodem, pod cywilnym ubraniem mundur oficerski, a broń i naboje zawiązał w chodnik i rzucił między główki kapusty w ogrodzie.

Niemcy wzięli ze wsi 40 mężczyzn i pognali na Lublin. Wieczorem mąż i goście poszli ratować od pożaru gminę i dom parafialny, a ja z dziećmi szykowałam kolację. Co chwilę biegłam do okna, spoglądałam to na palące się stogi, to na wieś całą w płomieniach. Dostałam jakiegoś szoku nerwowego, uspokoiłam się dopiero rano, kiedy po nieprzespanej nocy wyszłam na dwór i zobaczyłam 2 księży, organistę i kilku gospodarzy wracających z pod Piask, gdzie ich częściowo Niemcy zwalniali, a częściowo udało się niektórym uciec. Nie wrócił tylko jeden mężczyzna. *Sam zgłosił się na wyjazd do Niemiec*

Rok 1940. Niemcy zwalnają mnie z pracy, poświęcam się pracy w domu, wychowaniu<sup>ku</sup> dzieci, pracy w ogrodzie, hodowli, kur i kaczek.

W wolnych chwilach uczę potajemnie w domu, przygotowując do egzaminów 2 klasy siódmej.

Później mąż zostawszy kierownikiem szkoły postarał mi się o zezwolenie na nauczanie w domu z Kreestchulamtu.

Lipiec 1940 rok rodzi nam się drugi syn. Niedługo jednak cieszyliśmy się nim, w tym samym roku w grudniu umiera, gdyż nie było dla Polaków leków. Pomimo serdecznej pomocy 2 lekarzy Polaków, w przeciągu trzech dni tracimy dziecko. Był to ulubiony syn męża.



Rok 1941 - Majdanek. Nie możemy sobie wyobrazić, żeby naród kulturalny za jakich się Niemcy uważali był zdolny do stworzenia tak potwornego miejsca kaźni i zagłady ludzi tylko dlatego, że nie należeli do rasy "panów". W Trawnikach i Sobiborze obozy Żydów. Od czasu do czasu słyszy się o łapaniach ludzi starszych, młodzieży szkolnej a nawet małych dzieci o wywózce na roboty do Niemiec. W naszej wsi spokojnie.

Jednego razu jadąc furmanką Spółdzielni Spożyców do Lublina przejeżdżałam koło Majdanka. Nie wolno było patrzeć w stronę baraków obozowych. Niemcy zatrzymywali i sprawdzali Kenkarty. Od strony bramy widziałem jak parami maszerowali "jeńcy", jak mówili strażnicy. Prowadzili ich Niemcy z psami. Na widok tych ludzi zrozumiałam, co może zrobić "nadczołowiek" ze zwykłym człowiekiem. W Lublinie nie zatrzymałam się długo, zaledwie parę godzin, gdyż trzeba było wrócić do domu przed godziną policyjną.

Całą okupację spędziliśmy na jednym miejscu. W 1942 r. rodzina nasza powiększyła się o drugiego syna. Z jego urodzeniem przybył nam kłopot, gdyż dziecko urodziło się ze szpotawą nóżką. I znów spotykamy się z życzliwością ludzi, ale tylko Polaków, a szczególnie lekarzy, chirurgów z ośrodka w gminie i w szpitalu Dzieciątka Jezus w Lublinie. Nie minął rok jak syn nauczył się chodzić w żelazie, ale noga prosta i jest nadzieja że będzie wszystko jaknajlepiej.

Rok 1943. Rodzina powiększa się jeszcze o jednego syna. Ciężko nam, gdyż tylko mąż pracuje. Pomagają nam życzliwi ludzie, a jest ich wiele, wymienić trudno. Najważniejsze, że mamy mleko dla dzieci, chleb dla siebie, a o jarzyny i kartofle staram się sama. Sadzę je na ogrodzie, który dzierżawimy od Spółdzielni Spożyców. Co się dzieje na świecie, wiemy z radia, którego mąż nie dał Niemcom. Przechowujemy go w różnych punktach, na piecu chlebowym, w węglu, a nawet w psiej budzie. Komunikaty idą między ludźmi. Na skutek wielkiego rozgłosu jesteśmy w 1943 r. zmuszeni zlikwidować radio. Wiadomości teraz dowiadujemy się z tajnych gazetek, które mąż przynosi do domu. W szkole nauczyciele uczą potajemnie historii i geografii Polski. Mąż jest przewodniczącym Komisji Tajnego Nauczania. Wiem że należał do tajnej organizacji, ale nie pytałam wiele, gdyż jak mąż mówił ktoś musi opiekować się synami - wychować ich na przyszłych obywateli Polski.

Pomimo terroru jaki stosowali Niemcy nigdy nie wierzyliśmy, że mogliby zostać w Generalnej Gubernii na zawsze.



Rok 1944. I oto znów słyhać działa, na niebie łuny. Niemcy uciekają nocami na zachód. Wzdłuż szosy lotnicy niemieccy zrzucają bomby. Musimy uciekać z dziećmi do lasu. I kiedy po kilku dniach wracamy zastajemy dom bez okien, obrabowany, ale bez Niemców. Akta szkolne i co cenniejsze rzeczy z ubrania zakopaliśmy przed ucieczką do lasu w ogrodzie. We wsi już pełno żołnierzy radzieckich, oczekujemy nadejścia oddziałów polskich. Trudno wyrazić słowami co się działo wzdłuż szosy kiedy pokazały się polskie mundury brakło kwiatów chleba i mleka po domach. Jesteśmy wolni.

Rok 1945 zgłaszam się do pracy w szkolnictwie rolniczym. We dworze zostaje zorganizowana Szkoła Rolnicza. Otrzymujemy mieszkanie /pokój i kuchnię/ w budynku podworskim, by być bliżej szkoły. Wraz z kolegą kierownikiem Szkoły Męskiej organizujemy pracę, uczymy wieczorami, gdyż w dzień młodzież pracuje w polu i w ogrodzie jak i szkoła otrzymała w wyniku parcelacji majątku dziedzicznego.

Ze względów rodzinnych zmuszona jestem wycofać się z czynnego życia społecznego i wracam do szkolnictwa podstawowego, nie rezygnując jednak z pracy wieczorowej w szkole rolniczej.

Rok 1948. Najstarszy syn kończy klasę VII, zdaje egzamin do Technikum Spożywczego w Lublinie. Zaistniała konieczność przeniesienia się do Lublina. Robimy starania nie wierząc, że nasze marzenia są tylko o krok przed realizacją. 22 lipca 1948 r. w czwartą rocznicę Manifestu Lipcowego otrzymujemy przeniesienie - mąż jako kierownik szkoły dla pracujących, ja jako nauczycielka tegoż szkolnictwa. Radość z tego powodu wielka, ale gdzie zamieszkać w Lublinie?

1.IX.1948 r. Syn narazie mieszka w Internacie Liceum Nauczycielskiego, mąż u brata, a ja otrzymałam 3-tygodniowy urlop okolicznościowy. Mąż rano urządza wędrowkę po całym mieście, chodzi pod wskazane adresy szuka choćby tylko jednego pokoju z kuchnią. I znów przy pomocy dobrych ludzi znajdujemy mieszkanie na Sławinku, odległym od mojego miejsca pracy o 8 km, a od męża 3 km. Ale nareszcie całą rodziną jesteśmy razem, nasze wieloletnie marzenia ziściły się. A to, że trzeba od Koszar lub od ul. Gołębskiego iść piechotą do domu i to nocą, wcale nas nie przestrasza. I znów jak za młodych lat umawiamy się z mężem na randki pod kioskiem koło koszar i razem po godzinie 21<sup>30</sup> po pracy wędrujemy w deszcz, zawieję, czy błoto, ale do swego domu, do dzieci.



Czasem szło się bardzo przyjemnie i romantycznie przy świetle księżyca, ale z biegiem lat zaczynało to męczyć. Dzieci początkowo zostawały pod opieką służącej, później kiedy zaczęły chodzić do szkoły /1949 r./ pod opieką starszego syna lub bardzo często sami. Mieszkanie duże, ale brak światła, niekkanalizowane i wilgotne. Najgorsze jest jednak dojście do szosy boczną wiejską drogą na ironię zwaną ul. Jaśminową.

Dwa razy do roku w jesienną porę i wczesną wiosną kiedy topniały lody dojście stawało się niemożliwe. Przez jakieś 2 tygodnie mąż prznosił dzieci do szkoły przez wodę płynącą ulicą. Ja po południu jakoś przechodziłam w butach gumowych, a z powrotem b. często mąż prznosił mnie "na barana" przez topiel, a potem niemal po kolana w błocie brnęło się jakieś 300 m. do domu. Wzdychaliśmy często do ładnego przytulnego mieszkania w mieście. Korzyści jednak z mieszkania na Sławinku mamy duże, gdyż dzieci mają swobodę, dużo powietrza, a my w soboty i w niedzielę miły wypoczynek na tarasie lub pod lipą. Nie tylko sami, bo rodzina i znajomi korzystają z letniska.

Praca w szkole układa się nam znośnie. Jesteśmy zadowoleni. Mnie udało się przenieść bliżej domu, dojeżdżam codziennie do Krakowskiej Bramy. Znaleźliśmy się w nowym środowisku, w nowych warunkach. Nowe metody pracy z dorosłymi wymagają wiele czasu na doksztalcanie się ale mamy wolne soboty i niedziele. Razem z mężem pracujemy w jednym typie szkoły, razem więc szukamy lektury, dyskutujemy nad metodami i sposobami ujęcia wobec ludzi pracy. Dużo czytamy, chodzimy na szkolenia ideologiczne i metodyczne, żeby nie pozostać w tyle, żeby sprostać wymaganiom. Praca z młodzieżą dorastającą i dorosłymi podoba mi się, więcej mi odpowiada jak z dziećmi. Mamy zamiar z mężem ukończyć jakieś studia. Mnie będzie trochę trudniej, gdyż dom, robienie zakupów aż w mieście, gotowanie obiadów opieka nad trzema synami pochłania dużo czasu i energii. Przychodziłam często do domu zmęczona, a trzeba było sprawdzić prace szkolne dzieci ich ubranka, czy bieliznę. Często mąż czytał, a ja szyłam lub cerowałam. Ponieważ przeprowadzka do Lublina, urządzenie mieszkania pochłaniały wszystkie nasze oszczędności, mąż przed południem pracował w Kur.Okr.Szk. nie miał też wiele czasu.

Przeżyliśmy na Sławinku 7 lat, młodzi chłopcy zdążyli dojść do siódmej klasy starszy syn zdał maturę i w r. 1952 wyjechał na Politechnikę do Gdańska. I znów nowe kłopoty i wydatki, ale jakoś dawaliśmy sobie radę, gdyby tylko zdrowie dopisywało.



Ale i z tym nie bardzo. W 1949 r. mąż przechodził resekcję żołądka, w 1950 r. ja przechodzę b.poważną operację tarczycy z utratą zupełnie mowy na 3 tygodnie. Średni syn w tym samym roku przechodził operację wyróstka z zapaleniem otrzewnej. Przeżyliśmy i to. Przed nami perspektywa wysłania młodszych synów do szkoły średniej do miasta, a z tym znów wiązały się wędrówki do najbliższego przystanku autobusowego aż do koszar. Wydeptujemy wszystkie jakie się tylko da ścieżki, aby otrzymać mieszkanie w mieście. Dzięki życzliwym ludziom, a przede wszystkim Kuratorowi Okr. Szkolnego i prezes. Zarządu Miejskiego ZNP otrzymujemy w r. 1955 mieszkanie w mieście po 7 latach pracy w szkołach lubelskich. Otrzymaliśmy 2 pokoje z kuchnią w jednej z dzielnic nowego Lublina, wprawdzie na IV piętrze i daleko od śródmieścia i od naszych szkół. Jest jednak dojazd autobusami, są na miejscu sklepy, jest w domu gaz i światło i jest nadzieja, że będzie ciepło i wygodnie. I znowu nowe wydatki z przeprowadzką i uzupełnieniem urządzenia mieszkania. Chociaż już zdrowie nie bardzo dopisuje, cieszymy się bardzo, nareszcie nasze życie ustabilizuje się. Musimy wprawdzie dojeżdżać do pracy, często z przesiadkami, marzniemy znów czekając na autobusy, ale jeszcze czujemy się młodzi, nareszcie spełniły się nasze marzenia. Nie chcemy być jak ta "baba" z bajki o złotej rybce.

Rok 1968. Mija dzień 20 lat od naszego przyjazdu do Lublina. Dużo zmieniło się w naszym życiu i w naszym domu. Mąż nadal pracuje na kierowniczym stanowisku w tym samym typie szkoły, ale w innej szkole. Ukończył Studium Nauczycielskie zaocznie, dożył już wieku emerytalnego, ale pracuje nadal. Ja również przez te parę lat zdołałam awansować na kierownika szkoły i w r. 1966 po dojściu do wieku emerytalnego przeszedłam na rentę starczą, ale nadal pracuję w jednej ze szkół lubelskich. Pracuję od godzin, jakoś trudno po 40 latach pracy pożegnać się ze swoim zawodem. Przebywając z młodzieżą czuję się sama jeszcze młoda wiem, że jestem jeszcze komuś potrzebna. Pracą zawodową, wychowaniem dzieci, prowadzenie domu, obydwój z mężem dzieliliśmy razem. Dziś razem nadal pomagamy sobie nawzajem. Nie było nam w życiu łatwo. Synowie już od nas odchodzą. Najstarszy ożenił się i pracuje na Śląsku, młodzi po ukończeniu Lic. Ogólnokształcącego, pokończyli Państwowe Szkoły Techniczne, również pracują na siebie. Najmłodszy ożenił się, mieszka u rodziny żony. Jesteśmy już dziadkami. Średni syn jest jeszcze w domu.



Ale czas wrócić "do Lublina". Tak jak przed wojną pieszo wędrowaliśmy ulicami naszego miasta, poznając jego piękne zabytki, dziś autobusami lub trolejbusami zwiedzamy nowe i odległe od naszego domu dzielnice miasta. A dzielnice rosną jak "grzyby po deszczu". Olbrzymie zmiany nastąpiły również w obrębie dawnego miasta. Obecny Lublin pretenduje do rzędu największych miast wojewódzkich, zresztą dwukrotnie był stolicą Polski, krótko wprowadził ale i to napawa dumą jego mieszkańców.

Na 10-lecie Polski Ludowej zostało odnowione Stare Miasto, zmieniono elewacje domów na głównych ulicach. Zresztą same ulice otrzymały asfalt, a komunikacją miejską można dostać się dziś do najdalej położonej części Lublina, który rośnie nie tylko wwyż, ale i wszcz, przybywa nowych pięknych dzielnic. Przyłączony zostaje Sławinek, na co czekaliśmy mieszkając tam. Mam przed sobą plan miasta i widzę, że dawne wsie czy przysiółki jak Czechów, Czechówka, Kalinowszczyzna, Lemszczyzna, Bazyliń<sup>ka</sup>, Ponikwoda, Tatary, Bronowice, Majdan<sup>o</sup>Tatarski, Ządęcie, Kośminek, Abramowice, Wrotków, Rury - to dziś Lublin. Coraz dalej wychodzi miasto poza dawne rogatki. Powstały piękne osiedla mieszkaniowe jak: ZOR Zachód, Rośnie i coraz piękniejsze jest osiedle na północny zachód od Lublina. Kiedyś o ul. Unickiej mówiło się tylko o cmentarzu, dziś rośnie tam jedno z najpiękniejszych osiedli. Oprócz kwater dla ludzi umarłych przybywa coraz więcej wieżowców dla żywych - młodych. Nie sposób wymienić wszystkich nowych osiedli: ZOR Bronowice I, II, III, ZOR Tatary, a już najpiękniejszą i największą dzielnicą jest L.S.M. W tym roku z powodu choroby nie mogliśmy wyjechać w czasie wakacji, zrobiliśmy sobie z mężem wypad na L.S.M., by zwiedzić nowe osiedle Słowackiego. Jechaliśmy w nieznaną i rzeczywiście jechaliśmy zupełnie nowymi ulicami i dojechaliśmy aż do szosy Kraśnickiej. Z jednej strony olbrzymi zespół budynków Lubgálu, z drugiej jeszcze więcej imponujące bloki nowego osiedla, niektóre wykończone, kolorowe inne dopiero w budowie. Staliśmy jakoś onieśmieleni i czuliśmy się już naprawdę starzy widząc tyle rozmachu, tyle młodości wokół siebie. Osiedle LSM jako wzór osiedli ludzi pracy, nie tylko w Lublinie, ale w Polsce - imponuje rozmachem, bogactwem kwiatów i zieleni ale zdawało nam się, że jest budowane trochę beładnie i bez porządku. To są nasze refleksje, bo plany urbanistyczne miasta Lublina określają miejsce każdego domu, każdej ulicy. Osiedle to stanowi dziś jakby osobne nowe miasto ze szkołami, biurami, sklepami, a przy tym wszystkim jest wymarzone miejsce na wypoczynek, na spacer, tyle tu kwiatów, zieleni, cóż kiedy nasze nogi nie sprostają temu.



Kiedyś znów zrobiliśmy wycieczkę samochodem Nr 12 daleko poza miasto do Choin. Spoglądając na mijane budowle - obydwójmy jedno myśleliśmy, że nie znamy już naszego miasta, trzeba by już dla nas przewodnika lub przynajmniej szczegółowego planu, patrzeliśmy jak urzeczeni. Pięknie prezentuje się szpital przy ulicy Jaczewskiego, zespół budynków Akademii Medycznej. Zresztą czuliśmy się jak w obcym mieście, gdybyż tak 20 lat wstecz /ale tylko nam/ możnaby znów wędrować ulicami, poznawać nowe zakłady przemysłowe, nowe szkoły, przedszkola, o których tyle czyta się w prasie.

Kiedyś - parę lat wstecz lubiliśmy z dziećmi chodzić do kina "Przyjaźń" przy FSC. Szło się ścieżką wzdłuż torów kolejowych. Po prawej stronie wznosiły się budynki i hale FSC, po lewej szumiały łany żyta i pszenicy. Dwa lata temu poszliśmy w tamtym kierunku i staliśmy omiemiałi - spacer po ulicy Gospodarczej wprowadził nas w bajkę. Pomimo zmęczenia nie chciało nam się wracać autobusem, pieszo poszliśmy aż do ul. Mełgiewskiej. Przecież te domy, te bloki, ulice rosną jak po deszczu, co jeden to piękniejszy, kolorowy otoczony zielenią trawników. Ulica Mełgiewska, która miała być kiedyś wielką arterią miasta dziś stała się prawie zwykłą ulicą osiedlową.

Kto widział dawny Lublin i ogląda dzisiejszy nie ma słów podziwu dla ojców naszego miasta, jak tęgie głowy muszą siedzieć tam w Ratuszu, żeby objąć całokształt wszystkich prac podejmowanych dla rozbudowy i upiększania naszego miasta. Tylu ludzi pisało już o Lublinie, wielu poetów sławiło go w pieśniach, ale żaden wiersz nie wzruszył mnie tak, jak ten którym chcę zakończyć moje wspomnienia. Jest to wiersz starszej koleżanki, nauczycielki Zofii Garwolińskiej.

### "Miasto moje serdeczne"

Miasto moje serdeczne  
i miasto pracy mojej  
jakoś cię ukochałam  
bliskie, najmiłsze, swoje..

Znajoma każda płyta,  
każda sklepu witryna.  
W mieście moim się czuję  
jak życie wielbiąca dziewczyna.



Serdecznym witają spojrzeniem  
 witają ukłonem mnie miłym  
 dorośli, młodzi, mali,  
 których uczę, uczyłam.

Szkoły, domy, teatry,  
 najdroższe mi w Lublinie  
 Wszystko co w nim przeżyłam  
 wspominam w szarej godzinie.

Lepsze chwile pamiętne -  
 dobrego doznałam wiele.  
 Tam spojrzę - znane wszystko,  
 tu spojrzę - przyjaciele.

Brama Krakowska - Zamek.  
 Nowe piękne dzielnice.  
 Głęboka, ZOR Tatary,  
 Aleje Racławickie.

Ratusz i Stare Miasto  
 spacery po Krakowskim  
 Majdanek - krew mrożący  
 Unia, Jan Kochanowski.

Muzea i uczelnie,  
 Skwerki, parki, cmentarze  
 codziennie mam was w oczach  
 i co dzień z wami gwarzę.

Starzy ludzie znający  
 mojego miasta dzieje  
 i wszyscy ludzie pracy -  
 to moi przyjaciele.

Tu spędzam dni radosne,  
 miłe, trudne, wesołe.  
 Kocham wszystko. Najbardziej  
 w Lublinie - kocham ... szkołę.



Oddaję miastu, Polsce  
wiedzę i zapał z siebie,  
by życie było lepsze  
dla was, dla mnie, dla ciebie.

Miasto moje za życia  
Miasto moje po zgonie -  
najserdeczniejsze z wszystkich  
Przed Tobą głowę kłonię.

1967 r.